

**„Żadanica”, Katarzyna Puzyńska, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, 2022 r.
[fragment powieści]**

Las niedaleko jeziora Bachotek.

Czwartek, 21 października 2021. Godzina 19.30.

Klementyna Kopp

Klementyna Kopp obserwowała, jak Maria Podgórska klika raz za razem w ekran telefonu, próbując włączyć latarkę. Robiła to w sposób typowy dla niektórych starszych ludzi. Trzymała komórkę, przyglądając się jej z wyraźną podejrzliwością. Jakby przedmiot żył własnym życiem i miał nagle zacząć się ruszać. Naciskała ekran sztywno wyciągniętym wskazującym palcem. Niechcący uruchomiła chyba jakieś aplikacje, bo telefon zaczął dość nieoczekiwanie pikać. Co sprawiło tylko, że Maria była jeszcze bardziej zestresowana. Latarka zapaliła się dopiero w ostatniej kolejności.

Emerytowana komisarz uśmiechnęła się pod nosem. Sytuacja była doprawdy groteskowa. Gdyby ktokolwiek kiedyś powiedział jej, że będzie siedziała w namiocie z Marią Podgórską, i to w lesie, w taką wichurę, Kopp na pewno nigdy by nie uwierzyła.

Były prawie w tym samym wieku. Ale! Dwie tak różne kobiety trudno byłoby sobie wyobrazić. Maria była starszą panią jak z obrazka. Z siwymi włosami zakręconymi na wałki, kraciastą spódnicą i innymi atrybutami, które Klementynie nieodzownie kojarzyły się z upływem czasu.

Tymczasem Kopp nadal chodziła w bojówkach, wojskowych butach i skórzanym żakiecie. Nie zamierzała tego zmieniać, mimo że tylko trzy lata dzieliły ją od siedemdziesiątki. Wiek był jedynie liczbą, której na pewno nie zamierzała się poddawać. Już dawno postanowiła sobie, że jeśli ktoś nazwie ją starszą panią, będzie to znak, żeby sam szykował się na cmentarz. Znów się uśmiechnęła do siebie.

Nie bała się upływającego czasu... A może jednak? Upływający czas oznaczał przecież, że definitywnie zmierzało się do punktu wyjścia. Czyli momentu, kiedy człowiek będzie zależał od kogoś innego. Maria miała Daniela i całą serię zakochanych w nim kobiet. Sama raczej nie zostanie. A tego nie można było powiedzieć o Klementynie.

Samotność ją przerażała. Wolą więc nawet nie dopuszczać myśli, że nie ma nikogo. Może nie była to do końca prawda, bo Kopp miała przyszywanego wnuczka.

Ale! Jego mama coraz bardziej rwała się do wielkiego miasta. Marta nie wytrzyma długo w Brodnicy, mimo że Klementyna pomagała jej zajmować się dzieckiem. A wtedy emerytowana komisarz naprawdę zostanie sama. *Samotna-stara-baba.*

– Coraz mniej mi się tu podoba – mruknęła Maria.

– Trudno, żeby ci się podobało, że siedzimy tu ściśnięte jak dwie sardynki w konserwie – odparła Kopp spokojnie.

Nie chciała myśleć o samotności. W małej przestrzeni namiotu wydawała się czymś wręcz abstrakcyjnym.

– Kiedyś to było jakoś inaczej... – westchnęła *starsza-pani*.

Nagle gdzieś po prawej stronie trzasnęła gałąź. Biwakowanie w namiocie w lesie w taką pogodę to była istna głupota. Kopp zachodziła w głowę, dlaczego się na to zgodziła. Chyba tylko po to, żeby Maria nie wyprawiała takich głupot sama.

– Co ty nie powiesz, co? – sarknęła.

Kilka dni wcześniej Klementyna przyszła odwiedzić Daniela. Podgórski zaprosił ją, Marię i Łukasza do domu Malwiny Górskiej, gdzie teraz mieszkał. A jak już zjedli obiad, rozpoczęły się dyskusje o życiu. Jak to zwykle bywa po sutym posiłku w gronie bliskich. W pewnym momencie Maria zaczęła wspominać stare czasy. Chwaliła się, że – choć może Kopp i jest cała w tatuażach. Ale! – *starsza-pani* też nie zawsze była taka grzeczna. Kiedyś z koleżankami dużo biwakowały.

– Na dziko – wyjaśniła Maria z dumą. – Wsiadałyśmy do samochodu Eugenii Solickiej i jechałyśmy, gdzie oczy poniosą.

– Z ciocią Solicką? – upewnił się Daniel.

Kopp widziała kątem oka, że Łukasz powstrzymuje uśmiech. Sama też się wykrzywiła. Trudno było wyobrazić sobie właścicielkę sklepu pod kościołem w szalonym młodzieńczym wydaniu. Solicka była wyjątkową dewotką. Kopp czasem dla zabawy zaglądała do sklepu razem z Marią, by poczuć na sobie jej groźne spojrzenia. Jakby sklepikarka chciała ją natychmiast nawrócić. A słowa *l e s b i j k a* chyba nigdy nie wypowiedziała na głos. Bała się zapewne, że już samo to jest grzechem ciężkim, zaśmiała się Kopp w duchu.

– A gdzie wtedy spałyście? – zainteresowała się Malwina Górka. Pisarka jako jedyna zdawała się brać opowiestkę Marii na poważnie.

– No jak to gdzie! W namiocie albo w samochodzie – odparła Maria. – Albo nawet pod gołym niebem.

– I jeszcze kąpałyście się nago i uwodziłyście niewinnych mężczyzn – zadrwił Podgórski.

– Danielku! – obruszyła się Maria. – Lepiej zjedz ciasta. Tyle upiekłam, a wy tak mało jecie. I to moja popisowa szarlotka! Nikt nie robi jej lepiej.

Maria zdecydowanie nie była skromna, jeśli chodziło o jej wypieki. Miała prawo. Salon domu Malwiny wypełniał apetyczny zapach prażonych jabłek i cynamonu.

– Już mi wystarczy, mamó.

Podgórski wyglądał dobrze. Twarz miał wypoczętą. Schudł co najmniej dziesięć kilo. Może dlatego, że nie mieszkał już w suterenie domu Marii i matka nie mogła go ciągle dokarmiać. Najważniejsze jednak było co innego – wyglądał na szczęśliwego.

Klementyna cieszyła się, że mu się układa. Najwyraźniej odejście z firmy mu służyło. Czyli ta słynna wiedźmowata Mari Carmen Sikora w gruncie rzeczy zrobiła mu przysługę tym, że się do niego przyczepiła.

Mimo to Kopp wolała trzymać rękę na pulsie. Pogadała z kim trzeba i trochę o nieco szaloną funkcjonariuszkę BSW rozpytała. Chciała być przygotowana, gdyby tamta nadal próbowała atakować. Nawet jeśli na razie nic tego nie zapowiadało. Może i Kopp nie miała rodziny. Ale! Czy więzy krwi były najważniejsze, co? Daniel był jej przyjacielem i zamierzała chronić go, gdyby tego potrzebował.

Co najdziwniejsze, niewiele się dowiedziała. Mari Carmen Sikora stanowiła doprawdy zagadkę. Wiadomo było tylko, że jest córką Hiszpana i Polki. Że wyszła za mąż za Polaka, stąd polskie nazwisko. I że ma doskonałe wyniki w pracy. Uchodziła za nieprzekupny postrach BSW. Jedna z najlepszych policjantek, która potrafiła wytropić nawet najlepiej ukryty przekręt. Zaliczała sukces za sukcesem.

A to mogło oznaczać dwie rzeczy. Albo faktycznie *pół-Hiszpanka* była tak dobra w tej robocie, jak mówiono, albo po prostu umiała się zakręcić, żeby osiągnąć pożądany wynik. Chociażby spreparować dowody. Może wcale nie była taka święta.

Druga opcja zdawała się bardziej prawdopodobna, uznała Klementyna. Z Danielem przecież nieźle sobie poczynała. Były policjant opowiedział Kopp wszystko ze szczegółami. A i w śledztwie w sprawie Martwca znaleźć można było sporo nieprawidłowości.

– Wy mi nie wierzycie – zachnęła się Maria i nałożyła sobie kawałek szarlotki. – A naprawdę tak było.

– No jasne, że ci wierzymy, mamó – powiedział Podgórski ze śmiechem.

Kopp odsunęła się nieco od stołu. Widziała teraz, że Daniel i Malwina trzymają się pod blatem za ręce. Poczowała ukłucie zazdrości. Co prawda łatwo było udawać, że jest się ponad to, i takie gesty wykpić jako tandetne. Rodem z walentynkowych przesłodzonych filmów. Ale! Trzeba być ze sobą szczerym. Kopp też chętnie by tak kogoś pottrzymała za rękę. *Teresa*. Kochanka odeszła zbyt szybko. Zabrana przez chorobę. Potem Kopp próbowała spotykać się z innymi kobietami. To nigdy nie wychodziło. Zawsze stawała jej przed oczami *jej-Teresa*. Wyglądało więc na to, że przynajmniej w tym względzie skazana jest na samotność.

– Nie wierzycie mi – powiedziała jeszcze raz Maria urażonym tonem. – No to ja wam pokażę! Zapowiadają ocieplenie, to ja pójdę do lasu pobiwakować.

– Mamó, weź już przestań. Przecież ci wierzymy.

– No niech babcia idzie – podjudzał Łukasz.

Chłopak stanowił młodszą kopię Daniela. W uśmiechu jednak przypominał zmarłą matkę. Kopp zauważyła też, że zaczął przewracać oczami, jak robiła to Emilia. Brakowało jej *mysiej-policjantki*, mimo że nie zawsze się zgadzały. Strzałkowska wykonywała dobrą robotę.

– A żebyś wiedział, Łukaszku, że pojedę – zaperzyła się Maria. – Klementynko, pójdziesz ze mną? No bo samej smutno w nocy w lesie.

Maria była jedyną osobą, która odważyła się kiedykolwiek nazwać Kopp K l e m e n t y n k ą i nadal miała wszystkie zęby. Maria zdrabniała wszystkie imiona i tak po prostu musiało być. Próba zmieniania tego nie miała prawa zakończyć się sukcesem.

– To jak?

– Okej. No dobra – zgodziła się Klementyna.

Głównie dlatego, że myślała, że do żadnego biwakowania nie dojdzie. A jednak nikt nie docenił determinacji Marii i siedziały teraz w tym mikroskopijnym namiociku niczym sardynki w puszcze. Mimo szalejącej wokół wichury i spadającej ciągle temperatury.

Wczoraj faktycznie było ciepło, niemal jak latem. Termometry w ciągu dnia pokazały jakieś dwadzieścia stopni. Teraz słupek rtęci leciał na łeb na szyję. Kopp zawsze ubierała się tak, jak chciała. Coś takiego jak pogoda nie będzie jej przecież dyktować doboru garderoby. Dziś żałowała, że nie ma na sobie czegoś cieplejszego niż skórzany żakiet. Na pokrytych starymi tatuażami rękach miała gęsią skórę.

– Słyszałaś to? – zapytała Maria nagle.

Starsza-pani trzymała telefon tak, że latarka podświetlała jej twarz akurat od dołu. Podgórska wyglądała niczym duch.

– To trzaskają jakieś gałęzie. Jesteś pewna, że chcesz tu zostać na noc, biwakowiczko, co? – Kopp zaśmiała się pod nosem.

Już miała dodać coś więcej, kiedy i ona to usłyszała. Ktoś chyba był na zewnątrz. I najwyraźniej okrążał namiot. Obie zastygły w bezruchu. Emerytowana komisarz nasłuchiwała. Nie mogło być mowy o pomyłce. To nie były tylko szalejące na wietrze drzewa. Ktoś naprawdę chodził wokół. Klementyna służyła w policji bardzo długo, a taka praca budowała w człowieku intuicyjną uważność na tych, którzy próbują zrobić coś po kryjomu. Ktokolwiek był teraz na zewnątrz, nie chciał, żeby go usłyszały. Po co w takim razie okrążał namiot, co? I to na tyle blisko, że nawet w targanym żywiołem lesie było go słychać.

– Poczekaj tu – szepnęła Klementyna do Marii.

Nie zamierzała tak po prostu siedzieć w środku i czekać, aż ten ktoś zrobi coś niespodziewanego i prawdopodobnie niedobrego. Gdyby przyszedł z dobrymi intencjami, toby się odezwał, żeby je poinformować o swoim przybyciu. Z drugiej strony, gdyby chciał zaatakować, mógł to zrobić równie dobrze przez "ściany"

namiotu, bo to było tylko płótno. Chyba że jeszcze nie zdążył, przebiegło jej przez myśl.

Klementyna rozsunęła cicho zamek. Odczekała moment, czy coś się stanie. Na zewnątrz panowała prawie absolutna ciemność, choć była pełnia. Ale! Wiatr nawiewał chmury i wtedy robiło się zupełnie czarno.

Nasłuchiwała. Szalejący wicher utrudniał zorientowanie się w otoczeniu. Wydawało jej się jednak, że nie słyszy już kroków. Wyszła z namiotu. Oczywiście Maria zaczęła gramolić się za nią. To było do przewidzenia. *Starsza-pani* nigdy nie była posłuszna. Pod tym względem były akurat dość podobne. Robiły, co chciały.

– Jest tu kto? – zawołała Maria. – Halo?

Teraz Kopp miała ochotę przewrócić oczami, jak to robiła Emilia. To było na tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia. Z drugiej strony o jakim zaskoczeniu mogła być mowa. Przecież ktokolwiek tu był, widział ich namiot. Zapewne też słyszał ich rozmowę. Płótno nie było dźwiękoszczelne, a nie starały się mówić cicho. Nikogo się tu nie spodziewały. Kto chodzi po lesie w taką noc, co?

Rozbiły namiot pomiędzy drzewami, żeby poczuć się bardziej dziko, choć znajdowały się bardzo blisko Lipowa. Niedaleko brzegu jeziora Bachotek. Samochód zostawiły na leśnej drodze i przedarły się tu przez gęstwinę. Zazwyczaj ludzie trzymali się wyznaczonych szlaków. Ktokolwiek tu się kręcił, musiał wejść pomiędzy drzewa celowo. Nie wyobrażała sobie, żeby to mógł być przypadek.

Maria omiotła światłem latarki z telefonu teren wokół. Kopp już miała wyciągnąć swoją komórkę i zrobić to samo, kiedy delikatny snop światła zatrzymał się u stóp drzewa stojącego kilka metrów od nich. Coś tam leżało.

Podgórska pochyliła latarkę i światło powędrowało dalej, zanim Klementyna zorientowała się, co to.

– Czekaj. Stop. Poświeć no tam jeszcze – poprosiła. – Tam pod drzewem.

– Którym?

Kopp westchnęła i wyciągnęła swój telefon. Jak chciało się coś zrobić dobrze, trzeba to było zrobić samemu. Snop światła padł na niewielką szmacianą laleczkę. Klementyna podeszła do niej i przykucnęła. Zabawka nie miała oczu, ust ani nosa. Brak twarzy robił niepokojące wrażenie.

– Widziałaś to tu wcześniej, co?

– Nie, chyba nie.

Przyszły tu, kiedy było zupełnie ciemno. Ale! Kopp też była prawie pewna, że zabawki nie było tu, kiedy rozkładały namiot. A to oznaczało jedno. Ktokolwiek kręcił się w ciemności, musiał ją przynieść. Tylko po co?